

**O PRAWO
DLA BOGA**

Małgorzata
Borkowska OSB

O PRAWO DLA BOGA

Spotkanie
z Matką Mechtyldą de Bar



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki:
Jacek Zelek

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 4/2019, Tyniec, dnia 7.01.2019
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie drugie – Kraków 2019

ISBN 978-83-7354-941-8

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95
e-mail: wydawnictwo@tyniec.com.pl
zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

SPIS TREŚCI

I. Przygotowanie	9
Na papierze i na płótnie	9
Dwie ojczyzny	14
Dzieciństwo i powołanie	25
Czerwone anuncjatki	34
Rozdział ze sztychu Callota	44
Rambervillers	56
Druga tułaczka	66
Lotna przeorysza	82
II. Dzieło.	93
Szalony Paryż	93
Pora wyboru	109
O prawo dla Boga	126
Wielka batalia	144
Czas zapuszczania korzeni	151
Czas rozkładania gałęzi.	164
Księżna pani oraz różni inni.	176
Nareszcie kongregacja	186
Nancy.	199
Ciężkie lata	208
Znowu wielka polityka	222
Ostatnie fundacje	238
Uwielbiam i poddaję się	247
Bibliografia	253

Spis treści

Wybór z pism255
Pochodzenie tekstów.257
Tłumaczenia tytułów257
Skróty używane w tekście.258
Msza święta259
Komunia święta.261
Przemiana duszy w Jezusa Chrystusa przez Eucharystię264
Zamieszkanie Trójcy Świętej w duszy – życie wewnętrzne267
Adoracja281
Chrzest, profesja284
Maryja – Matka i Ksieni klasztorów Instytutu286
W oktawie Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny287
Św. Benedykt – Reguła290
Konferencja na drugi piątek Adwentu291
Konferencja na uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny294
Konferencja na święto Oczekiwania Najświętszej Maryi Panny.297
Konferencja o Bożym Narodzeniu298
Konferencja w wigilię Objawienia Pańskiego300
Konferencja w wigilię święta św. Benedykta.304
Konferencja na święto św. Benedykta305
Konferencja na Wielki Czwartek307
Konferencja w wigilię Wniebowstąpienia Pańskiego308
Konferencja w wigilię Zesłania Ducha Świętego (1)311
Konferencja o Duchu Świętym.312
Konferencja w wigilię Zesłania Ducha Świętego (2)313
Konferencja na uroczystość Trójcy Przenajświętszej314
Konferencja na Ewangelię [dawnej] 19. Niedzieli po Xesłaniu Ducha Świętego (Mt 22,1–14)315

Spis treści

Konferencja na uroczystość Wszystkich Świętych (1) . . .	317
Konferencja o Świętości Boga (na uroczystość Wszystkich Świętych)	319
Konferencja na uroczystość Wszystkich Świętych (3) . . .	320
Konferencja o miłości Najświętszego Sakramentu	322
Konferencja na święto Poświęcenia Kościoła	324
Konferencja w wigilię święta św. Andrzeja Apostoła	325
Listy do klasztoru warszawskiego	329
Spis ilustracji	337



1. Matka Mechtylda od Najświętszego Sakramentu

I. PRZYGOTOWANIE

NA PAPIERZE I NA PŁÓTNIE

Katarzyna de Bar, rodem Lotarynka, najpierw anuncjatka pod imieniem „siostry Święty-Jan” (po francusku tak można), później zaś benedyktyńska pod imieniem Mechtyldy od Najświętszego Sakramentu, wreszcie założycielka kongregacji benedyktynek od Nieustającej Adoracji – była postacią niezwykłą i wybitną na tle swoich czasów, i to pomimo że we Francji siedemnastowiecznej roiło się od wielkich mistyków. Tak przynajmniej mówi o niej ksiądz Louis Cognet, a nie ma podstaw, żeby mu nie wierzyć: najwybitniejszy to dzisiejszy znawca tamtej epoki i jej świętych. Była także mądrym teologiem i stworzyła doktrynę życia zakonnego spójną i oryginalną – o tym zapewnia ojciec Jean Leclercq, a są wszelkie podstawy, żeby mu wierzyć: najwybitniejszy to dzisiejszy znawca duchowości monastycznej. Co zaś do jej biografów, to przez kilka wieków dowodzili usilnie, że była bardzo a bardzo święta, i znów nie ma podstaw, żeby to podawać w wątpliwość, tylko że spod zapi-

sanej przez nich góry papieru czas by nareszcie wydostać człowieka, żywego człowieka, a to wcale nie tak łatwo. Papier jest w pięknym gatunku, biblijny, zdobiony i złocony. Niestety właśnie człowieka zakrywa dość dokładnie.

Jak wyglądała? Istnieje przynajmniej pięć różnych jej portretów, w tym cztery olejne i jeden sztych. Wszystkie są późne: przedstawiają kobietę starą, lekko uśmiechniętą, o obwisłych już policzkach, ogromnym nosie i powiekach wyraźnie obrzękłych. Owal twarzy jednak zachował się ładny – i aż się prosi, by użyć tutaj powieściopisarskiego frazesu o „śladach niezwyklej niegdyś urody”. W młodości miała być, zdaniem biografów, śliczna – cóż, to pisano prawie o każdej świętej zakonniczce, żeby sobie kto przypadkiem nie pomyślał, że poszła do klasztoru z braku powodzenia. Ale mogła to czasem być i prawda. Kiedy siostra „Święty-Jan” przekradała się w męskim przebraniu przez tereny ogarnięte wojną, na którymś postoju w tym urodziwym chłopcu zakochała się córka karczmarza... Ten szczegół znajduje się w jednym starym tekście źródłowym, biografowie zaś wolą go pomijać, naprawiając gaffę. Ale jeśli gaffa, to pewnie tak i było. Musiała ta uroda być nieco w męskim, energicznym typie, skoro pobożna mniszeczka, uciekająca przed rozwydrzonym żołdactwem, z takim powodzeniem potrafiła udawać chłopaka.

Wkrótce zaś potem, już znowu w anuncjackim habicie, zjawiała się u benedyktynek w Rambervillers, aby prosić o pomoc dla swego rozproszonego zgromadzenia. Czarno ubrane siostrzyczki, widząc jej barwny strój i urodę, zakrzyknęły, że są przy niej jak kopciuszki wobec królowy. Musiała to być uroda nie pozbawiona swoistego majestatu. Zachował się on

zresztą na portretach, kiedy już piękność zanikła: widocznie jest nie tylko dziełem malarza, stylizacją przysługującą dostojnej osobie.

A w tych zapuchniętych oczach jest spokój i dobroć. Mimo życia spędzonego w dużej części na tułaczce, na trudach zgoła nieprawdopodobnych, wśród ciągłych walk i prześladowań, mimo duchowości dość dramatycznej, akcentującej bardzo silnie konieczność męki i ofiary – pomimo wszystko jest w tych oczach taki spokój, z jakim nie można się urodzić; z jakim można tylko umierać po życiu pełnym po brzegi. Matka Mechtylda nie wygląda na kogoś, kto by umiał z radości tańczyć; nie ma żywiołowego temperamentu św. Teresy Wielkiej. Nie ma też apostolskiego pośpiechu, który spalał Katarzynę ze Sieny. Inny to typ psychiczny i inny rodzaj miłości; nie większa miłość ani mniejsza, tylko inna. Trzeba ją będzie spróbować zrozumieć.

Oprócz portretów są jeszcze oczywście i źródła. Jest ich za dużo i za mało. Za dużo, bo samych listów zostało po niej przeszło trzy tysiące, a jest i innych tekstów mnóstwo: konferencje, kroniki, pamiętniki, notatki, wczesne żywoty pisane jeszcze przez ludzi, którzy ją osobiście znali dobrze i długo. Za mało, bo ten olbrzymi materiał jest w większości albo niedostępny, albo dostępny fatalnie: urywki listów, te co bardziej mistyczne, posklejane już przez samych adresatów z pominięciem zwyczajnych, autobiograficznych partii, na ogół nie datowane i bez objaśnień; urywki konferencji poskładane tematycznie... A jeśli nawet teksty są pełne, wydane, datowane i opatrzone przypisami, to tylko w wyborze, wedle tego, co autor antologii znalazł i uznał za ważne. Wielotomowe *opera omnia* to dopiero sprawa dalekiej przyszłości; pracują nad tym francuskie

sakramentki, i oby skończyły na rok 1998, w którym wypadnie im obchodzić trzystulecie śmierci swej założycielki. Bo po archiwach całej Francji i nie tylko Francji nadal trwa kwerenda i coraz to w jakimś nieprawdopodobnym miejscu odnajduje się to kilka listów, to jakaś notatka... Rewolucja francuska przetasowała kościelne archiwalia nie gorzej, niż to u nas zrobiły rozbiory.

Wreszcie jest oczywiście także i żywa tradycja o niej, przechowywana przez instytut zakonny, który założyła. Kto się z tą pamięcią pierwszy raz styka w Polsce, zwłaszcza w rozmowie ze starszymi mniszkami, przeżywa zabawne nieporozumienie. Raz po raz słyszy: „Matka Godna... Matka Godna...” i z początku bierze to za imię niewyraźnie dosłyszane; potem dopiero okazuje się, że to taka jeszcze siedemnastowieczna kalka z francuskiego: *Digne Mère*. Po francusku widać tak można; po polsku należałoby jednak dodać, czego takiego godna, toteż „czcigodna” byłoby tłumaczeniem właściwym: *Digne Mère*, Czcigodna Matka, skoro nie jest kanonizowana i nie można mówić „święta Matka”, jak zwykle mówią zakonnice o swoich założycielkach.

Ale to drobiazg. Ważniejsze, że był taki czas, i to całkiem niedawno, w którym Czcigodna Matka jakby odchodziła w cień. Bo benedyktynki-sakramentki są właśnie benedyktynkami, a zakon benedyktyński (i nie on jeden zresztą) przeżywał na przełomie XIX i XX wieku kolejną próbę nawrotu do pierwotnej czystości reguły, tym razem w imię „czystego benedyktynizmu”. I znaleźli się gorliwi ludzie, którzy potem wmawiali siostronom sakramentkom, że nie są dość „czystymi” benedyktynkami, aż niektóre z nich uwierzyły. Między innymi klasztor

w Herstelle odszedł z instytutu i odstąpił od nieustającej adoracji, w przekonaniu, że tak będzie „czyściej”. Czemu to miało być aż takie ważne, zupełnie nie potrafię zrozumieć, choć sama nie jestem sakramentką, tylko właśnie zwyczajną benedyktynką. A były i takie wspólnoty, w których zdania były podzielone, i jedne siostry skłaniały się coraz silniej ku „czystemu benedyktyństwu”, a drugie opowiadały się przy tradycjach pochodzących od Czcigodnej Matki. Zanim by się ta sprawa jakoś wyjaśniła, przyszedł Sobór Watykański II, i pierwsze lata posoborowe jeszcze pogłębiły to zamieszanie, gdyż wielu teologów w neoliturgetycznym zapale głosiło w ogóle koniec adoracji Najświętszego Sakramentu jako przestarzałej lub zgoła zbędnej formy pobożności. Także i prawa własne zakonu, konstytucje, zwyczaje – usiłowano tu i ówdzie przeforsować możliwie jak najbardziej „odnowione”, a więc niepodobne do dawnych. W Holandii nawet już to wprowadzono w czyn *ad experimentum*, na zastanowienie nie czekając, i kilka tamtejszych klasztorów sakramentek upodobniło się zgoła do hotelu robotniczego czy innej zarwańskiej ulicy; bez klauzury, bez habitu, prawie bez wspólnej modlitwy, bez ciszy...

A potem okazało się, że tak na dłuższą metę nie można, i klasztory holenderskie na skutek tego eksperymentu pierwsze zrobiły zwrot na całej linii. Odkryły z powrotem wartość tego, co odrzuciły: oddzielenia, umartwienia, milczenia. Te zaś klasztory, które się takiej pseudoreformy ustrzegły, podziękowały Bogu i tym gorliwiej zabrały się do realizowania takiego kształtu miłości, jaki od trzech wieków jest ich właściwym, równouprawnionym wśród innych, słusznym i zbawiennym

powołaniem. I tak Czcigodna Matka triumfuje dziś w pełni na nowo.

Miała więc coś do powiedzenia. Ale moim zadaniem nie jest streszczenie jej nauki, choć tak pięknej, tylko odnalezienie jej samej: żywego człowieka imieniem Katarzyna, Mechtylda, a po drodze także Święty-Jan. I bardzo chcę to zrobić, ale nie mam złudzeń, że zdołam stworzyć jej obraz pełny i doskonały. Niech więc to będzie po prostu moje spotkanie z Matką Mechtyldą: moje i tych wszystkich, którzy zechcą tę książkę przeczytać.

DWIE OJCZYZNY

Matka Mechtylda była Lotarynką. To się nam błyskawicznie kojarzy: „Alzacja-i-Lotaryngia”, pogranicze niemiecko-francuskie, które wiecznie raz jedna, raz druga strona zagarnia. Odruchowo oczywiście opowiadamy się za Francją... tylko czy koniecznie trzeba za kimś się opowiadać w sporze tak od nas odległym? A jeżeli już trzeba, to może by tak spróbować opowiedzieć się nie za żadną z walczących potęg, tylko za kimś trzecim, za samym tym małym, pogranicznym ludem, który także ma swoje prawa i także czegoś chce, i wolno mu chcieć. A wolno mu też, jak każdemu człowiekowi i każdemu narodowi, swoje chęci w zależności od biegu wypadków odmieniać.

Paradoks: Lotaryngia jest frankofońska, a jednak Matkę Mechtyldę uważano we Francji za cudzoziemkę. Zaczęło się wszystko jeszcze w IX wieku, kiedy pękało państwo Karolingów. W roku 843 kazano się tej wielonarodowej i wielojęzycznej masie rozpaść na trzy części, bo trzech cesarskich synów

stanęło do podziału: Lotar, Karol i Ludwik. I poszły przez Europę dwie niemal pionowe linie graniczne. Dwaj młodszy bracia dostali tereny leżące po bokach, etnicznie niemal jednolite: Karol dzisiejszą Francję, mówiącą językiem romańskim, Ludwik Niemcy, mówiące po germańsku. Najstarszy Lotar dostał koronę cesarską i sztucznie wykrojony szeroki pas ziemi, ciągnący się z południa od Włoch aż po dzisiejszą Holandię na północy i zahaczający oczywiście po drodze sporą połąć frankońską na zachodzie i niemiecką na wschodzie. Granica etniczna biegła mniej więcej środkiem jego państwa. Nie istniało ono zresztą długo; już w dwanaście lat później (855) zostało podzielone, znowu między trzech synów, i to nawet noszących identyczne imiona: Ludwik, Karol i Lotar II. Historia próbowała się powtórzyć, tylko tym razem oczywiście mniej już było do podziału, no i linie granic dla odmiany poszły po mapie poziomo. Ludwik dostał tylko Włochy, Karol tak zwaną Burgundię (była to wtedy mniej więcej dzisiejsza Szwajcaria) z dodatkiem Prowansji, a Lotar II – wszystko, co stamtąd na północ. I to właśnie zaczęto odtąd nazywać Lotaryngią. A granica etniczna nadal szła przez środek.

Na dzisiejszej mapie Europy byłyby to więc: obecna francuska Lotaryngia, z Niemiec Kraj Saary i Westfalia z Kolognią, Luksemburg, Belgia, Holandia... jeszcze także po bokach skrawki Francji i może Szwajcarii. Ten już od początku sztuczny i niespójny twór rozpadł się bardzo szybko (869), kiedy Lotar II zmarł bezpotomnie, a stryjowie (nie bracia) podzielili się jego dziedzictwem. Dzisiejsza Lotaryngia francuska wypadła wtedy po stronie niemieckiej, chociaż językowo tam nie pasowała, ale tym się wtedy nie przejmowano. I nagle okaza-

ło się, że twór, choć sztuczny, trwał nadal w pamięci ludzkiej. W roku 895 król Arnulf niemiecki wyodrębnił znowu Lotaryngię, w granicach mniej więcej takich jak za Lotara II, jako dział na odczepne dla swojego najstarszego bastarda, żeby nie sięgnął po koronę. Potem dzielono i łączono, i znowu dzielono; w dodatku od początku X wieku czynną rolę zaczynają odgrywać sami mieszkańcy kraju. To oni zbrzydzili sobie najpierw okrutnego syna Arnulfowego (900), a potem nowego króla Niemiec, frankońskiego Konrada (911); i to aż tak sobie zbrzydzili, że się poddali Francji. Wprawdzie już wkrótce (925) znowu zagarnął ich cesarz niemiecki, i tym razem już na stałe, ale od tego czasu mały pograniczny ludek, etnicznie związany z jedną z sąsiednich potęg, a politycznie z drugą, wyrabia sobie poczucie swojej odrębności; z żadną z dwu do końca się nie utożsamia i uczy się walczyć o tyle przynajmniej swobody, ile jej w takim położeniu uzyskać można. W X i XI wieku jest też Lotaryngia jednym z najżywszych ośrodków reformy Kościoła i wyjątkowo silnie upomina się o uniezależnienie go od władców świeckich. Może i dlatego między innymi, że Kościół politycznie uzależniony byłby to z konieczności Kościół na usługach któregoś z dwóch ościennych smoków? A Lotaryngia jest malutka i sama walczyć z tymi smokami nie zdoła: niechże przynajmniej w Kościele będzie u siebie...

Lotaryngia jest malutka, bo w końcu X wieku dzieli się znowu na dwie części. Jedna to Górna, czyli właściwa, dzisiejsza Lotaryngia; druga Dolna, która z czasem rozbija się na różne nazywane prowincje i państwa nadmorskiej niziny. Te nas tu więcej obchodzić nie będą. Co zaś do właściwej Lotaryngii, to od XI wieku, a dokładnie od roku 1048, ma ona już wła-

sną, stała odtąd i dziedziczną dynastią książęcą. Dynastia miała się okazać wyjątkowo trwała; przeżyje dwie lub trzy francuskie. Niemniej nie jest oczywiście niezależna, książę lotaryński jest wasalem cesarskim, i to jednym z pomniejszych. Do tych największych, do kolegium elektorów zwłaszcza, bardzo mu daleko. A jednak uważa się za władcę wśród władców Europy; jeszcze w połowie XVII wieku pani de Chevreuse, żona dalekiego pociotka dynastii, obrażona przez motłoch paryski podczas Frondy, zażąda ni mniej, ni więcej tylko krwi jakiegoś Bourbona na zmycie tej zniewagi „domu lotaryńskiego”!

Przez całe średniowiecze ów dom lotaryński, chociaż z niemieckim smokiem otwarcie już nie walczy, szuka dla przeciwwagi zbliżenia z francuskim. Czasem to drogo opłaca: tak książę Rudolf padł w bitwie pod Crécy (1346), w której właściwie nic nie miał do roboty, bo bili się Francuzi z Anglikami. Nie odstraszyło to jego syna od kontynuowania tej samej polityki. A wnuk został nawet konetabłem Francji, nie tracąc przez to swego – nadal podległego cesarzowi – księstwa. Pogranicze! We Francji szukał dom lotaryński żon dla książąt i mężów dla księżniczek; we Francji miał coraz większe dobra prywatne. W XVI wieku, w czasie wojen religijnych Gwizjusze, też boczna gałąź dynastii lotaryńskiej, będą już mieli we Francji ogromne majątki i trząść będą całym krajem, aspirując po cichu nawet do korony. Był to dobry okres dla Lotaryngii; król francuski był przyjazny, ale nie miał praw zwierzchnika, cesarz niemiecki zaś był coraz słabszy i choćby chciał, nie bardzo by już mógł się w cokolwiek wtrącać. W ogóle Niemcy, zajęci własnymi sprawami, nie cenili sobie wtedy tego granicznego zakątka; kiedy w 1552 roku król francuski Henryk II sprzymierzył się przeciw

cesarzowi z niemiecką ligą protestancką, ta ostatnia w nagrodę za pomoc obiecała mu... miasta lotaryńskie. Ponieważ, jak stwierdza dokument umowy, są one wprawdzie pod władzą cesarską, ale nigdy tam nie mówiono po niemiecku. Pogranicze: ziemia sporna, przedmiot walk i przetargów.

W XVII wieku to pogranicze nagle zmienia gusta – tylko czy ktokolwiek o te gusta pyta? Smok cesarski osłabł już tak, że nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa, za to francuski w oczach rośnie w siłę i w zaborczość. Ma już na terenie Lotaryngii kilka swoich enklaw i tylko patrzeć, jak się zabierze do ich powiększania i łączenia. Podczas wojny trzydziestoletniej (1618–1648) Karol IV lotaryński jest więc już bardzo wiernym wasalem cesarza, a stawia czoło Francji, dyplomatycznie i zbrojnie. Przegrywa na całej linii: może za późno tego zwrotu dokonał? Jego kraj niszczą Francuzi i ich sprzymierzeńcy, a co po przejściu wojska zostało, to pod francuską okupacją (1633–1648) dobiega głód i zaraza. To właśnie ta wojna wygnała Matkę Mechtyldę z ojczyzny.

A nowy smok już nie spocznie. W roku 1670 Ludwik XIV zaanektuje znowu Lotaryngię siłą, w roku 1679 zrobi z niej oficjalne lenno Francji. Stara dynastia lotaryńska, bardzo popularna w kraju, mogłaby marzyć o niezawisłości – a zdołała na to lenno powrócić w roku 1697 – więc już Ludwik XV przenosi ją... do Toskanii, na miejsce wygasłych Medyceuszy (1738), a na księstwie lotaryńskim, dla zachowania na razie pozorów jego odrębności, osadza dożywotnio swojego teścia, wygnanego z Polski króla Stanisława Leszczyńskiego. Gdy ten zmarł w roku 1766, ostatecznie już wcielono Lotaryngię do Francji, bez żadnych namiastek jakiegokolwiek autonomii. Pro-

blem został rozwiązany i w pewnym sensie rozwiązany pozostaje. W XX wieku Lotaryńczyk woli już być Francuzem niż Niemcem... ale do tej pory jeszcze nie zapomniał, że jest przede wszystkim Lotaryńczykiem.

Matka Mechtylda nie dożyła oczywiście owego rozwiązania kwestii lotaryńskiej. Przybyła do Francji w roku 1641. Przyniosła tam spokojną, zahartowaną w cierpieniu godność osobistą, właściwą podbitym, ale nie pokonanym. A także bardzo lotaryńskie przekonanie, że władcom doczesnym wara od spraw Kościoła. Przez pół wieku z górami będą się zastanawiać Francuzi, co bardziej w niej podziwiać: słodycz i pokorę – czy też nieustępliwość, z jaką największym nawet i najzyczliwszym sobie wielkim tego świata odmawia jakiegokolwiek wpływu na wewnętrzne sprawy swoich klasztorów. To było dziedzictwo jej pierwszej ojczyzny, zupełnie nie pasujące do ówczesnych stosunków w drugiej, gdzie król i tylko król rozstrzygał, kto będzie biskupem, opatem, nawet ksienią w żeńskim klasztorze.

I w pierwszej, i w drugiej ojczyźnie żyła zresztą Matka Mechtylda w czasach trudnych. Oczywiście – bo kiedyż to były te łatwe? Żadna epoka nie jest łatwa, może najwyżej taką się wydawać w popularnej powieści. Kiedy dzielny d'Artagnan rozcina szpadą każdy problem, gotowi jesteśmy uwierzyć, że nie było w ówczesnej Francji problemów większych niż te, które rozciął; a jeśli nawet jakieś były, to się z nimi bez trudu rozprawił tajemniczy super-mózg, kardynał Richelieu. Sugestia ta jest tak silna, że jej nie burzy tragiczny koniec wszystkich po kolei prywatnych wątków tej powieści. A że czytamy to na ogół wtedy, kiedy jeszcze ani rusz nie możemy zrozumieć, dlaczego królowa nazywa się „Austriaczka”, a jest

Hiszpanką – stary czarodziej Dumas, wsparty przez trwałość naszych pierwszych dziecinnych wrażeń, narzuca nam na stałe dość beztroski obraz siedemnastowiecznej Francji. Obraz, który sam stworzył, a który z rzeczywistością raczej niewiele ma wspólnego.

Weźmy zwykły podręcznik historii. Dowiadujemy się z niego, nie bez zdziwienia, że przez cały XVII wiek, jak długi, Francja toczyła wojny na wszystkich granicach kolejno, a czasem nawet i na raz. Dumas nam o tym nie mówił, u niego trafialiśmy tylko na wojny domowe: oblężenie La Rochelle, potem Fronde. Prawda, że działania wojenne nie wchodziły na ogół na teren samej Francji, a przynajmniej nie wchodziły głęboko; bito się zwykle gdzieś daleko, w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii. Sława tych bitew, nazwiska wodzów docierały zresztą i do Polski, gdzie syn „Wielkiego Kondeusza”, (Ludwika de Bourbon-Condè) był nawet brany pod uwagę jako kandydat do korony. Zestawmy: w latach 1618–1648 toczy się wojna trzydziestoletnia, w której Francja ma wielki udział i dyplomatyczny, i militarny. Pokój westfalski w roku 1648 zakończył ją w Europie centralnej, ale z Hiszpanią walczyła Francja jeszcze do roku 1659, i to na dwóch granicach, hiszpańskiej i niderlandzkiej. Potem przychodzi długi okres drobnych wojen: tak zwana dewaluacyjna 1667–1668, niderlandzka pierwsza 1670, aneksja Lotaryngii w tym samym roku, niderlandzka druga 1672–1679, atak na Genuę 1684... Jednocześnie trwają aneksje dalszych terytoriów przygranicznych na wschodzie, najczęściej bezkrwawe, bo cesarstwo nie ma już sił do obrony; aż wreszcie w roku 1688 wybucha wojna z tak zwaną trzecią koalicją. Francja ma wtedy przeciw sobie na raz wszystkich są-

siadów, oburzonych na jej politykę, a już zwłaszcza na krwawy podbój Palatynatu reńskiego. Ta wojna toczy się ze zmiennym szczęściem przez lat dziewięć, a kończy ją pokój w Ryswiku w roku 1697; Ludwik XIV, jeden z najbardziej agresywnych imperialistów, jakich świat pamięta, oddał wtedy pod przymusem większość swoich ostatnich zaborów (w tym chwilowo i Lotaryngię), ale już się przygotowywał do rozpoczęcia wieku XVIII nową wojną, tak zwaną sukcesyjną, tym razem z Hiszpanią: 1701–1715...

Nawet jeżeli przemarsze wojsk, przynajmniej obcych, i działania wojenne rzadko wkraczały w granice samej Francji – najczęściej od strony Niderlandów ku Paryżowi, ale niedaleko – to i tak dziesiątki tysięcy żołnierzy zginęły w tych wojnach, wykrwawiając i osłabiając kraj. A jednocześnie niszczyły go przecież i wojny domowe. Był już w 1619 roku bunt książąt przeciw młodemu Ludwikowi XIII i jego wszechwładnemu faworytowi, panu de Luynes; to wtedy właśnie Richelieu doszedł na stałe do władzy. Były wojny domowe hugenockie, zakończone pamiętnym oblężeniem La Rochelle w 1627 roku; rewolta Gastona orleańskiego w 1632, liczne spiski przeciw kardynałowi w latach 1636–1641... A po śmierci Ludwika XIII, za czasów regencji Anny Austriaczki i rządów Mazariniego – Fronda: cztery lata walki wszystkich ze wszystkimi (1648–1652), a przy okazji spustoszenia i wygłodzenia własnego kraju tak, jak tego nie pozwolono zrobić żadnemu wrogowi. Wrogów zresztą, a mianowicie Hiszpanów, parokrotnie podczas Frondy proszono o interwencję. Aż dziwne, że naród zdołał to wszystko przeżyć, ale właśnie tylko naród zdołał, a życie jednostek było w siedemnastowiecznej Francji tanie.

Jakiś szal spadał przy tym na ludzi, podobny do tego, który objawia się w czasie moru. Że protestanccy żołnierze, na przykład szwedzcy w Bawarii podczas wojny trzydziestoletniej, profanują po drodze katolickie kościoły, to jeszcze jako tako zrozumiałe; można to nawet wyjaśnić swoistym, choć barbarzyńskim, zapalem religijnym. Ale dlaczego robią to samo katoliccy żołnierze francuscy w katolickich kościołach Francji? Tylko dlatego, że jest wojna, *à la guerre comme à la guerre*, wszystko wolno, hulaj dusza – i okazuje się, że w tej duszy czai się coś takiego, co właśnie w świętokradztwie znajduje rozkosz, bo kiedy wolno, to sobie tej rozkoszy odmówić nie potrafi. Nie mają już wtedy żadnych praw ani Bóg, ani ludzie: wszystkie prawa zagarnął zdobywca, żołnierz zwycięskiej armii, tylko dlatego, że przed paru godzinami, czy też przed miesiącem, pomógł wybić lub zmusić do odwrotu inną armię, z rodaków zresztą złożoną. I nie poskromi go dowódca, bo go nie zechce zniechęcić, ani go nie odepchną bezbronni ludzie, jego ofiary, ani też Bóg mu nie zagrozi drzwiami swojej świątyni; Bóg się od czasów Golgoty nie broni. A jeśli wolno, jeśli bezkarnie uchodzi wszystko podczas wojny, to czemu nie podczas pokoju? Co raz się w człowieku ujawniło, nieprędko da się pokonać.

Dlatego to właśnie wiek XVII we Francji jest także wiekiem wielkich świętych, którzy upominali się o pogwałcone prawa ludzi, o pogwałcone prawa Boga. Ale nie tylko świętokradztwo i okrucieństwo było do naprawienia i do odpokutowania. Była jeszcze i cała ta mentalność dworska, nadająca ton i stawiająca się za wzór reszcie narodu; tyle że ton to był wielce zgrzytliwy i wzór podnoszący włosy dęba na głowie nawet wielu współczesnym. Pamiątniki z tamtej epoki, czasem w spo-

sób dość obłudnie krytyczny, a czasem, jak w wypadku kardynała Retza, z rozbijającą szczerością, ukazują warstwę rządzącą narodu jako gromadę ludzi zajętych od rana do wieczora, prócz oczywiście wielogodzinnej toalety i posiłków, problemami ogromnej wagi: kto kogo i na czyj temat ostatnio okłamał (co nazywało się intrygą i przy zręczności mogło prowadzić wysoko) oraz kto kogo i z kim ostatnio zdradził (co nazywało się miłością i mogło prowadzić jeszcze wyżej). A także, skąd by tych wiadomości zaczerpnąć i jak je potem wykorzystać, żeby także zająć wyżej choć trochę. I tak wokół jednej intrygi narastała warstwa po warstwie innych intryg, wokół jednej miłostki warstwa po warstwie innych miłostek, a wszystko to moda była robić z uroczym cynizmem, godnym najkulturalniejszego na świecie narodu, który już wie, że nie ma gorszego barbarzyństwa niż nadmierna ilość przekonań. Nawet wielka polityka, śmierć i życie tysięcy ludzi zależały czasami od czyjegoś kaprysu, określanego na ogół jako „honor”. A to wszystko działo się i dzieje nie tylko we Francji i nie tylko w XVII wieku, ale nigdy nie było i nie jest niczym innym jak krzywdą i zbrodnią.

Kto zachował wśród tego wszystkiego chrześcijańską odpowiedzialność, ten łatwo mógł wpaść w rozpacz.

„Jakże mi żal mojego brata! – mówiła pani de Ligny, siostra kanclerza. – Modłę się, żeby wpadł w niełaskę i został z dworu wygnany, bo nie wiem, w jaki sposób inaczej mógłby się zbawić”. Można mniemać, że brat nie był jej za taką modlitwą wdzięczny i że wielki był psychiczny przedział między tym rodzeństwem. I właśnie dlatego aż narzucało się samo: podzielić ludzi na tych, których łaska Boża dosięgła i widać po ich surowym, oddalonym od próżności światowych życiu, że będą

zbawieni – i tych, których łaska najwyraźniej pominęła, którzy piastują urzędy, żyją niemoralnie i pójdą do piekła. Janse- nizm był zrozumiałą reakcją wielu uczciwych ludzi na to, co się działo, i mniszki z Port-Royal nie musiały się trudzić, żeby uwierzyć tym, którzy im wmówili, że to one są oazą zbawio- nych wśród potępionego świata. Przyjdzie nam zresztą mówić tu o nich dość dużo. Z drugiej strony produktem tylu już po- koleń mentalności dworskiej byli ludzie, którzy nawet jeżeli rozumieli w głębi duszy, że ich styl życia jest z gruntu przeciw- ny prawu Bożemu, nie znajdowali w sobie siły do odmiany. Jan Franciszek de Gondi, późniejszy kardynał Retz, podczas reko- lekcji przed święceniami postanowił... grzeszyć świadomie, po- nieważ do walki z grzechem nie czuł się zdolny, ale obrzydze- niem napawała go wewnętrzna obłuda, usiłująca oszukać nie tylko już bliźnich, ale i własne sumienie. Przynajmniej więc zachowa na własny użytek świadomość tego, że grzeszy. I kto wie, czy temu nieszczęśliwemu od młodości człowiekowi nie policzył Bóg tej właśnie uczciwości tak samo, jak wielkim świę- tym wielkie cnoty? Nie można sądzić wszystkich ludzi wedle jednej miary, a miarę każdego zna tylko jeden Bóg. Zdaje się, że to właśnie rozumieli podówczas jezuici; ale też zdarzało im się posuwać ten subiektywizm za daleko. Przynajmniej o to ich oskarżano.

Taki więc obraz czasu i miejsca rysuje się, gdy przekro- czyć nieco owe tak nam dobrze znane powieściowe dekoracje. A kiedy usiłowałam dotrzeć na ich drugą stronę, spotkałam wiele ciekawych, ze wszech miar godnych uwagi postaci, wie- lu świętych; najbardziej jednak zaciekały mnie trzy. Sama czcigodna Matka właśnie, jej równolatek Retz i starsza od nich

o jedno pokolenie Angelika Arnauld. Razem tworzą oni spójny tryptyk i bardzo wiele w sobie wzajemnie wyjaśniają. Dlatego też o nich wszystkich będzie mowa w tej książce.

DZIECIŃSTWO I POWOŁANIE

Najwcześniejsze wspomnienie, jakie zachowała z dzieciństwa, to było coś w rodzaju ekstazy przeżytej, kiedy miała trzy lata, uczucie szczęścia i głębokiej przynależności do Pana. Wbrew zrozumiałej w hagiografii pokusie, która kazałaby w tym widzieć znak szczególnego wybrania, sądzę, że nie należy tego zdarzenia przeceniać. Mnóstwo dzieci przeżywa przynajmniej raz coś podobnego; jakiś krótki jak błyskawica moment radosnej iluminacji... i najczęściej, chociaż pamiętają to do śmierci, na tym się sprawa kończy. Niektóre nawet nie odnoszą tego do Boga. Mała Kasia nie mogła nie odnieść: atmosfera rodzinna była przesycona religijnością, oddychała nią cała Lotaryngia. Reforma Kościoła (ta katolicka, potrydencka) była tam właśnie w pełnym toku. Zakładano szkoły, od uniwersytetu zaczynając, sprowadzano nowe zakony, reformowano stare... Nic dziwnego, że nawet dzieci bawiły się w nabożeństwo.

I zaraz potem wspomnienie drugie. Kasia ma trzy czy może cztery latka, i jakiś brzydki, niegrzeczny chłopiec zaczyna przy niej mówić brzydkie, niegrzeczne słowa. Kasia wie, że to grzech. Prosi, żeby przestał. Bez skutku. Usiłuje go więc przekupić: może wzięłby jej śniadanie albo jej oszczędności? Oczywiście chłopiec widząc, że zrobił takie wrażenie, klnie dalej. Podobno św. Stanisław Kostka w takiej sytuacji z przejęcia omdlał; Kasia nie mdleje, tylko wyczerpawszy argumenty, rzuca się z piąstka-